XXIV. Kraków, 15 listopada 1921 r. Nr. 22.



„BOCIAN"

Wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca.

Kwartalnie z przes. poczt. 456 M. — f. Do Ameryki rocznie 3 dolary.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
KRAKÓW XV., ul. Kazimierza W. 63 [illegible] Telefon Nr. [illegible]

[illegible]

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Wyłączne zastępstwo i główny skład na Lwów w biurze K. BUCHSTABA, ul. Karola Ludwika 21.

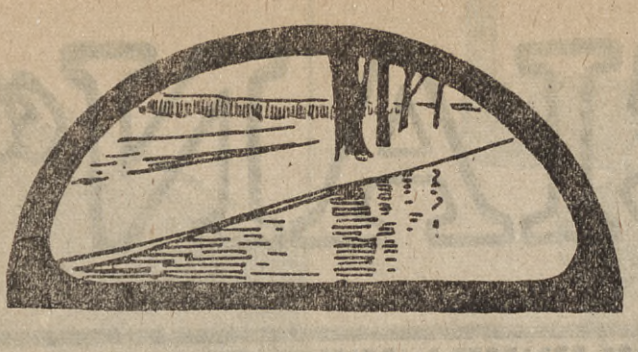
W Warszawie do nabycia wszędzie. Biuro dzienników „Promień" Łódź, Piotrkowska 81.

CENY OGŁOSZEŃ: Za wiersz petitowy jednoszpaltowy na stronie inseratowej Mrk. 20·—, na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mrk. 30·—, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy Mrkp. 40·—, za wiersz petitowy w części redakcyjnej Mrkp. 50·—.

Numer pojedynczy 80 Marek. Redaktor: K. Krumłowski. Numer pojedynczy 80 Marek.



— Uje! Nie można przeszkadzać, pan radca przy pracy ze swoją sekretarką!
— Tak! to ona pod nim pracuje!



Sprawiedliwie.

Pan Józef był skończonym pantoflem. Nie narzekał jednak, bo miał z tego wielką wygodę. Poza biurem nic go nie obchodziło, pani Józefowa wszystkiem rządziła, wszystko samo załatwiała, tak że o niczem myśleć nie potrzebował.

Tak było przez lat dwadzieścia zgodnego pożycia małżeńskiego. Nagle pani Józefowa zaczęła się opuszczać. Raz i drugi kazała mężowi coś kupić, załatwić jakiś interes na mieście. Panu Józefowi to się nie podobało, więc kiedy raz otrzymał znowu jakieś polecenie, zaprotestował dość energicznie.

— Co to znaczy? — zapytała się zdziwiona.

— No... bo — jąkał się — ja mam już tyle zajęcia w biurze, a ty wciąż się mną wyręczasz. Przedtem sama wszystko załatwiałaś, a teraz na mnie się spuszczasz...

— Mój kochany Józiu — odrzekła pani Józefowa — przez dwadzieścia lat ty się spuszczałeś na mnie, niechże się teraz ja czasem przynajmniej spuszczę na ciebie.

Nieporozumienie.

— Czytała pani w gazetach, że na Dębnikach jakaś panna poparzyła się podczas manipulacyi z prymusem?

— Fe, wstydź się pan, takie świństwa przy kobietach gadać.

Pani Róża Börsemacher, żona właściciela kantoru weksli, od dwóch tygodni ogromnie posmutniała.

— Co pani jest? Czy pani nie chora? pyta się p. Izydor Immerglik.

— Ja nie potrzebuję bicz chora. Ale jak ja nie mam być smutne, panie Izydor? Kiedy dolary szły w górę, to mojemu mężowi dżeń w dżeń podnosił sze interes, a jak teraz spadajom, to jego interes wisi już na włosku.

Oj! kobietki! — oj! kobietki!...

Kobiet ma dość każde miasto
A Amor ich protoplastą
Gdziekolwiek tylko że zboczę
Dziewice widzę urocze
Wzrok mój rozkoszą czaruje
Wokół jak motyl wiruje
Kokoty, panny, mężatki
Kochać się dają bez matki
Małe figlarne stworzonka
W Corsa wplecione ogonka
Rzucają oczkiem dokoła
Czy na nie chłopiec nie woła
Więc gonię szybko jak strzała
Gdzie pędzi znów taka mała
Pędzę na skrzydłach Amora
Bo każda skromna z nich skora
Pieszczoty dawać bez sromu,
Bo mają ten zwyczaj już w domu.
U stópek drobnych uklęknę
Uściskam nóżki przepiękne
Gdy parol na kogo już zagnie
Każdy dostanie co pragnie
Lecz jedno niezbędnie potrzebne
Zarazem dla nich pochlebne
To marek tysiąc lub para
Inaczej odwal i... wara!...
Ją tylko szumem jedwabi
Nie słówek słodyczą przywabi
Ale do tego jest w prawie
Więc uznać mogę i bawię
„Mój Boże jam wniebo-wzięta“
Mruczy i mruży oczęta
„Słuchaj mój kotku kochanie
Pojutrze wielkie mam pranie
Pożycz mi głupich pięć setek
Ocalisz je od gryzetek
Co?! Niemasz Łazarzu ni marki
Więc cóżeś był taki żarki
A zatem po co grasz pana
Gdy nie masz i na szampana?
Hochstapler, nędzarz, bandyta
Krzyczy — pierścionek chwyta...
A ty się wynoś i kwita!... *Eska.*

Akcye idą w górę.

— Jak tam stoją akcye panie Stefanie? pyta gość wchodząc do handlu „pod Obrazem“.

— Doskonale — odpowiada p. Stefan — kupiłem znowu za kilkanaście tysięcy, lecz obawiam się, czy te nie były fabrykacyi pana Pomiankowskiego i Spółki. Byłaby klapa z moim interesem, który właśnie otwieram w Jordanowie, nie podtrzymałaby go bowiem ani moja ostatnia narzeczona, pomimo że do mojego interesu potrzeba silnej dłoni.

Habsburg wodny.

Ma Karolek smutną minę,
Bo się zbajał odrobinę,
I wsadzono wprost do ula
Z operetki tego króla.

Choć wypadek to fatalny,
Ale ul oryginalny,
Bowiem nie był nigdy w modzie
Jeszcze dotąd ul na wodzie.

I to także rzeczą nową
Że wygodę ma domową,
Bo choć więźniem jest nieboże,
Ale z Zytką dzieli łoże.

Czasu nie brak mu do spania
Chęci nie brak do działania
Uzupełni więc ród płodny
Habsburg „z ula“, albo „wodny“.



Kaktus Kobierzyński

Jeszcze kawałek...

(Futuropowieści ogryzek trzeci).

Na miejscu, na którem tak tragiczną śmiercią zginął pan Filoktet, z którego tylko proteza prawej nogi pozostała, komisya sądowo-lekarska, po wysłuchaniu świadków i znawców, orzekła, iż nie ulega kwestyi, że denat wyskoczył z trzeciego piętra, gdyż to ludzie widzieli i stwierdza to proteza, brak zaś resztek ciała świadczy, iż upadek nastąpił z siłą, która spowodowała rozbicie ciała w najdrobniejsze części, a tych między śmieciami na ulicy odnaleźć niepodobna. Pozostała jedynie proteza, jako sporządzona z trwalszego materyału.

Na podstawie tego orzeczenia uznany został pan Filoktet urzędowo za śp. nieboszczyka, pozostałą protezę postanowione złożyć do depozytu sądowego celem doręczenia jej ewentualnym spadkobiercom.

Tymczasem tłum ciekawych doszedł do kilkudziesięciu tysięcy głów, nie licząc ludzi bez głowy i półgłówków, z czego korzystając, ponieważ był to okres przedwyborczy, rozpoczęli kandydaci swe mowy programowe. Koło każdego z nich zebrała się gromada zwolenników, ponieważ zaś reprezentowane były rozmaite stronnictwa, które się odpychają a nie pociągają, wnet przyszło między poszczególnemi grupami do krwawej walki na śmierć i życie, po której jednak nie pozostały trupy jedynie z tego powodu, że jej uczestnicy rozeszli się wcześniej, nim się pozabijali, śpiesząc się na kolacyę lub do ciepłego łóżka i czekających żon i narzeczonych.

Sp. Filoktet doszedł tymczasem równym krokiem do najbliższej kawiarni, w zamyśleniu zapomniał bowiem, że mu prawej nogi brakuje, a protezę zostawił na miejscu wypadku. Stratę swą spostrzegł dopiero w lokalu, gdy się chciał podrapać właśnie w tę nogę, której nie było. Po zgubę nie wracał, zwłaszcza gdy uczuł, że brakująca noga zaczyna mu odrastać i powoli wypełnia nogawicę. Kazał sobie podać słoik musztardy, a czekając na nią, przysłuchiwał się rozmowom sąsiadów. Tematem ich był oczywiście wypadek, któremu on uległ. Wszyscy zgadzali się na to, że się zabił, ale gdzie, kto i kiedy, zdania były podzielone. Jeden widział skaczącego z okna mężczyznę, który zrobiwszy w powietrzu dwa koziołki, upadł na bruk, drugi zapewniał, że były to dwie osoby różnych rodzajów, splecione z sobą w namiętnym uścisku w guście „Szału“ Podkowińskiego, trzeci przysięgał, że była to cała rodzina, złożona z ośmiu osób, z służącą, psem i kanarkiem. Pan Filoktet słuchał, ale do rozmowy się nie mieszał, jak gdyby wiedział, że jest nieboszczykiem i że głosu nie ma. Musztardę zjadł, oczywiście za nią nie płacąc, gdyż uważa się ją za dodatek do potraw i wyszedł najspokojniej, gdyż tymczasem noga odrosła mu w zupełności, czuł nawet jakieś swędzenie obok jej nasady i obawiał się, czy to przypadkiem nie powstaje trzecia.

Na ulicy stanął i nie ruszając się z miejsca, poszedł po rozum do głowy, ale go tam nie znalazł, przypuszczał, że zgubił go podczas upadku z trzeciego piętra. Bił się jakiś czas z myślami, nie dając jednak powodu policyi do urzędowego wkroczenia, nie wiedział bowiem co zrobić z resztą wieczoru, mającego trwać jeszcze całe dwa miesiące, skutkiem bowiem zmiany nachylenia osi ziemskiej, miał teraz Kraków, podobnie jak to było przed wojną na biegunie północnym, pół roku dzień, pół roku zaś noc. Do wyboru pozostawał mu chudy dramat w miejskim Teatrze, tłusty w „Bagateli“, operetka w „Nowościach“ lub opera w byłej ujeżdżalni. Z czworga złego wybierając najmniejsze, poszedł do swej zwykłej knajpki, do której uczęszczał dawniej, o ile mu żona, aby ją unieruchomić, trzewików nie schowała. Tu już wiedziano o jego śmierci, gdy się zatem pokazał, personal i goście rozbiegli się w popłochu na wszystkie strony, gospodarz zaś schował się ze strachu do rozpalonego pieca i poniósł śmierć na miejscu. Wszyscy byli pewni, że mają nieboszczyka przed sobą.

Pan Filoktet zajął swe zwykłe miejsce, ponieważ zaś był bardzo melancholijnie usposobiony, wypił szklankę czarnego piwa, pozostawioną przez poprzedniego gościa. Gdy się przekonano, że to nie duch, ale istota mająca ciało, goście zaczęli wracać, a pan Filoktet musiał każdemu z kolei opowiadać swe wrażenia z podróży na tamten świat, odbytej bez pomocy aptekarsko-lekarsko-karawaniarskiej. Tutaj dowiedział się także z całą pewnością, że jest już nieboszczykiem, wobec czego kazał sobie

Z powieści.

W najnowszej powieści jednej z młodych autorek czytamy:

„Odezwała się syrena — parostatek przybijał do Warszawy. Wszystko się stłoczyło na przodzie pokładu. Tylko Roman z Zofią siedzieli na tylnej części“...

A na czemże, u licha, mieli siedzieć?

Z kroniki Głosu Narodu.

„Wczoraj w południe na głównej poczcie były zamknięte dwa okienka do przyjmowania listów rekomendowanych. Za jednem jakaś urzędniczka prowadziła interesującą zapewne rozmowę z kolegą, a panienka przy drugiem urzędująca wyszła za jakimś pilnym widocznie interesem. Przeszło cały kwadrans czekało kilkaście osób zanim się załatwiła.“

Najwidoczniej biedaczka cierpi na obstrukcyę — czyż można jej zato czynić publicznie zarzuty?

Tanie rajfurstwo.

W jednym i tym samym numerze *N. Reformy* czytamy dwa następujące ogłoszenia (autentyczne):

I. Młody, samodzielny mężczyzna, otoczony polarnym *chłodem* życia, pragnie zawiązać korespondencyę z *dystyngowaną* kobietą z towarzystwa i td.

II. Pokój z komfortem i użyciem *kuchni* przy młodej *dystyngowanej* osobie, zaraz do najęcia za *utrzymanie, węgiel i dopłatę*.

Nie należy wątpić, że te dystyngowane osoby już się porozumiały. Otoczony *chłodem* będzie miał *kuchnię*, więc się ogrzeje, „ona“ zaś znajdzie utrzymanie z dopłatą. A wynagrodzenie rajfurki nie wielkie: 10 marek od wyrazu.



List lwowskiej chórzystki z Krakowa do koleżanki.

Serwus Mańka! Pomyśl *sobi*,
Co się u nas w budzie robi:
Że ruch u nas wolnościowy
Skrępowany jest w okowy.
Ale niech Ci to *opowim* —
Rzecz ciekawa, jest albowim
Wszędzie w świecie są niestety!
Wolne miejsca i bilety,
Bo wszystkiego — ręczę za to —
Nie da się zapychać „watą“!
Więc chodziły recenzenty
I w niedzielę i w dzień święty;
Dyrektorzy zysku chciwi
(Bo to dranie! Czy Cię dziwi) —
Wolne miejsca (choć ich wiele)
Skasowali na niedzielę.
Niech im Pan Bóg błogosławi!
Tak się u nas wolność dławi!
Ja słyszałam jednak o tem,
Że ma prasa wyjść z bojkotem,
To si znaczy, że w tym względzie
Znów nas prasa pipczyć będzie.
O ile to nie jest baja,
Na dzienników pójdzie kartę,
Że trykoty są podarte,
Że kulisy idą w strzępy,
A chórzystki stare klempy.
Może mają racye swoje,
Ale ja ich się nie boję,
Bo ja mam w obecne czasy
Znajomości pośród prasy.
Cóż mi zrobisz recenzencie?
Ja ich wszystkich mam gdzieś w pięcie!
Że mam łydki — każdy przyzna,
Czy recenzent, czy mężczyzna.
Dla mnie małe to kłopoty,
Czy podarte są trykoty,
Czy to ma być wstyd dla świata —
Niech dyrekcya ję połata,
Bo nie trykot moja Maniu
Ma podstawę w podobaniu,
Lecz, jak się przekonasz o tem —
Tylko to, co pod trykotem.
Więc z widzenia punktu nogi —
Ja tam nie mam żadnej trwogi.
I w tej myśli o wytrwaniu
Ściskam *Ciebi*! Serwus Maniu!

Helena.

W kancelaryi odbudowy Wawelu.

— A panu łaskawemu czem mogę służyć?

— Ja, proszę pana dyrektora dobrodzieja, chciałbym się poinformować w sprawie wyrznięcia...

— Zależy od tego, jakiego pan żąda mamy bowiem dwa rodzaje: na ścianie i pod ścianą...

— A jaka między nimi różnica?

— Jeśli pan sobie życzy na ścianie, składa pan trzydzieści tysięcy marek, a o resztę już pana głowa nie boli.

— A pod ścianą?...

— To kosztuje tylko pięćset marek, ale tem musi się pan sam zająć, w każdym jednak razie nazwisko pańskie będzie wydrukowane w gazecie...

— Właśnie o to mi idzie, by naród wiedział, że i ja coś robię dla ogólnego dobra... Ale, wedle stawu grobla, na ten cel nie mogę poświęcić więcej jak pięćset marek...

— W takim razie proszę się zgłosić do pana sekretarza, a on pana sprowadzi do Smoczej Jamy i udzieli bliższych informacyi... Ale należytość musi pan uiścić z góry...

Z prasy.

— Czytałeś w „Głosie narodu“ recenzyę z „Lalki“ przez „Zastępcę“?

— Czytałem! Recenzent pisze, że nie gra na grzebieniu i dlatego boi się pisać...

— Rozumiem go bardzo dobrze! Wszak grał dotychczas tylko w guziki!

* * *

— Nakładem „Kuryerka“ wyszło jakieś dzieło o spirytyźmie. Czy nie wiesz kto jest autorem?

— Wiem! trzech tumanów i jeden tumanek!

* * *

— Dlaczego Dr. Klęsk już nie pisze swoich naukowych prac w dziennikach?

— Mój drogi!... Dzienniki mają dosyć innych klęsk, żeby sobie jeszcze jedną brać na kark!...

---

podać kolacyę, wychodząc z założenia, że, jako taki, płacić za nią nie potrzebuje. O uszy obijało mu się ciągle „proteza“. Jak się potem przekonał wszyscy mieli w głowie jego własną protezę i orzeczenie komisyi sądowo-lekarskiej, które w całym Krakowie wywołało nową słabość, zwaną „gorączką protezową“. Jak przedtem każdy szanujący się Krakowianin musiał mieć bodaj kilka zębów złotych, tak teraz zgłaszali się do lekarzy masowo z prośbą o amputacyę poszczególnych członków i zastąpienie ich protezami, sporządzonemi z twardszego materyału“. Znany i ceniony chirurg dr. Pestkogryz, autor znakomitych rozpraw naukowo-popularnych, zamieszczanych w *Trąbie codziennej*, jak np.: „O kiwaniu palcem w bucie“, „Kichanie a miłość“ i td., cięty zarówno w piórce jak i w nożu, miał tyle do czynienia, iż musiał sprawić sobie maszynę do obcinania członków, która dzień i noc funkcyonowała.

Zjadłszy i wypiwszy, zaczął się pan Filoktet zastanawiać nad tem, gdzie noc spędzi, domu bowiem nie posiadał, mając w swem dawnem małżeńskiem łożu zupełnie prawowitego następcę, a bynajmniej nie myślał iść do hotelu, gdzie trzeba tysiączką zjednać sobie względy pana portyera, drugą zaś zapłacić za pogryzienie przez pluskwy. Od czegóż jednak głowa, a w tej głowie rozum. Nie zapomniał pan Filoktet o tem, że za życia płacił podatki i że państwo powinno się postarać o to, by znalazł dach nad głową, choćby nawet „pod Telegrafem“, ale chcąc tam przenocować, trzeba się tam dostać, aby się tam dostać, trzeba mieć protekcyę, lub coś zbroić. Protekcyi nie miał, pozostawała zatem druga ostateczność. Znalazłszy się na ulicy zaczął szukać sposobności do wejścia w konflik z władzą bezpieczeństwa. Niestety przeszedł kilkanaście ulic i zmęczył się należycie, aż wreszcie na jednej z bocznych dojrzał drzemiącego pod ścianą stróża porządku publicznego i bezpieczeństwa mieszkańców. Trudno było przystąpić wprost do niego i powiedzieć: „Weź mię pan pod Telegraf“!..., gdyż gotów uważać go za waryata, a pan Filoktet będąc już nieboszczykiem, nie chciał być do tego jeszcze i waryatem.

Użył zatem innego sposobu. Podniósł kamień i celnym rzutem, był bowiem mistrzem w lekkiej atletyce, rozbił lampę uliczną. Szkło rozprysło się z hałasem, co obudziło „władzę“, która przetarła oczy, ziewnęła i jak tygrys rzuciła się na stojącego spokojnie pana Filokteta.

— Co się stało?!... — pytał dozorca porządku publicznego. — Pan rozbił lampę?

— Nie ja, lecz kamień!... — odpowiedział zagadnięty.

— Ale kamień pan rzucił?...

— Nie, panie!... Ten kamień spadł mi z serca, gdy spostrzegłem pana, gdyż boję się późną porą chodzić samotnie po ulicy.

— Gadaj pan sobie zdrów, ale nie mnie... Ja wiem, że kamienie mogą być w pęcherzu, worku żółciowym, nerkach, ale nie w sercu... Mnie pan w błąd nie wprowadzi!... Zresztą taki kamień, gdyby nawet był, spadłby na ziemię, a nie do góry...

— To pan nie słyszał o nowej teoryi ciążenia?...

— Nie!... A czy ona się odnosi tylko do kamieni, czy też i do ludzi?... Bo widzi pan ja mam narzeczoną, która... ale ja to panu opowiem już po drodze, gdyż służba moja się kończy, a ja lubię być punktualny... Na inspekcyi wytłómaczy pan sprawę z lampą komisarzowi, gdyż on jest od tego, a ja zrobiłem już swoje, oddając pana w ręce karzącej sprawiedliwości...

— Niech będzie... — mruknął pan Filoktet — Dalszy ciąg pokaże, jak się to i kiedy się to wszystko skończy.





— Dlaczego mi się pan tak przygląda?
— Jestem z zawodu rolnikiem, a moją specyalnością są prywatne mleczne gospodarstwa!



— Panie! pan mnie skompromitowałeś! Pan mi zapłacisz za to!
— A ile kosztuje kompromitacya pani?



— Pamiętam, że pani ma zachwycający pieprzyk pod łokciem.
— Pan się mylisz, pan byłeś wtedy pijany i nie rozróżniałeś łokcia od kolana!



Przestroga starszej siostry

— Nie oglądaj się za nim Helenko, to człowiek niebezpieczny, on kapie przez sen!



— Mam list, który pana kompromituje!

— Kompromituje?

— Tak jest!... Czyż nie jest to kompromitującem jeżeli ktoś do mnie listy pisze?



— No! przynajmniej na tym balu będę przyzwoicie ubrana!

Mąż: — A mnie się się zdaje, że będziesz nieprzyzwoicie rozebrana!



— Gdy wczoraj wróciłaś z kuzynem z teatru miałaś jeden bucik rozsznurowany! Co to znaczy?

— To znaczy, że nie miałam czasu by obydwa zasznurować.



— Daję ci w tym miesiącu 5000 marek tylko, wobec tego, że waluta idzie szybko w górę!

— Tak? wiedz ty obrzydliwy skąpcze, że u mnie tak szybko nic nie pójdzie w górę!

Ferdek Eleuteryk.



Tak samo, jak sie mówi, że „Kaźmirz Wielki Kraków wymurowoł, Lyo wyasfaltowoł, a Grynwald ośklił", tak możno być mówioncym o ministrze skarbu Michalskim, że „Polske postawił na nogi", a to głównie z tygo powodu, że różnym naszym mniijszym i winkszym degnitarzom, wożoncym dotond swe duże cielska automobilami, kozoł knajać na piechty. W szpadalskim cechu radość z tygo powodu okropno, na walnym zbiegowisku uchwalono pana ministra zamianować patronem cechu, obok świntygo Kryspina i uszyć mu parę honorowych adachów, które miała mu wręczyć, a raczej „wnożyć" specyalna dupetacya, złożono ze samyj starszyzny cechowej. Łaskaw Pan Bóg na krawieckom niedole, ale nie jest też zapominajoncy i o szpadałach, tak go w kużdą niedziele chwaloncych, że w poniedziałek sa zmuszeni blaumontag być urzondzajoncy i klin klinem wybijajoncy, co doprowodzo do katastrofy, bo panie majstrowe som bardzo popendliwe z przyrodzynio i dajom mężowi, ale nie tygo, czego mu się właśnie jest zachciewajoncym.

Naprzód wysłano do Warsiawy jednygo delekota, aby był panu ministrowi miare bieroncy, gdy sie jednak pan Michalski dowiedzioł, jakie szpadały wobec nigo zamiary som majoncy, był im piknie dzienkujoncy za dobre chenci, oświadczył jednak, iż sie bez tygo obendzie, bo tu kużda partyja poletyczna staro sie mu szyć buty, bedzie ich mioł wienc tyle, iż mu wystarczy, choćby żył aż do samyj śmierci, to jest przynajmniej jeszcze ze trzysta lot, co nie jest wykluczajonce, bo jak *Kuryerek* jest donoszoncy, tabletki z radyum sprawiajom nie tylko rozwolninie, ale i długowieczność. Już Kupernik, a może Matejek, bo mi z makówy wywioło, który z nich, a może nie uni, lecz pon Jasiński, orzekli, że kto cierpi na długoletnie żondołkowe cierpientliwości, ten też i długo jest żyjoncy, czego znów ni możno twierdzić, obróciwszy kota do góry wstydliwom czyńściom ciała, skróś tygo zasłoniętom ogonem, o tych, którzy som długo żyjoncy, bo nie kużdy z nich musi być narzykajoncy na zepsuty zomek w oficynle, winkszość nawet musi smarować zawiasy gorzkom wodom.

Świnty paminci Stańczyk, świć Panie nad jego duszą kolorowemi latarniami, godał, że na świecie jest najwincyj doktorów, bo kużdy swoimu bliźnimu chyntnie daje rade. A tak było ino za jigo czasów teroz doktory poszły w kąt, jako burżuje a najwincyj jest szpadałów czyli szewców. Jeden drugimu szyje buty, gdzie ino może a każde stronnictwo mo ich tyż w swoim gronie. Zabrali sie tyż do Michalskiego i som sie starajoncy, aby mu nie dawoł sie doczuwać brak adachów.

Trzy roki gospodarujemy już na swoim, ale tak klawo, że zleźliśmy w błoto po samą szyję, a nie wiele brakujoncy a przykryje ono nam i makówę. Trza się więc było obejźryć za jakimś ratunkiem i właśnie tygo Michalskiego wybrali, aby nas wyciongnon z tej bajury. Morowy chłop zakasał rękawy i wzion sie ostro do roboty, a głównym jego staraniem jest zatkanie dziury w naszym skarbie, który drze sie coraz bardzij. Zaprowadził oszczyndności i podoł projekt jednorazowyj daniny majontkowyj na rzecz państwa. Wszyscy razem wrzasneli: klawo!... ale kiedy się kużde stronnictwo znalazło na osobności, biedronie zaczeli se gwarzyć, że powinny ją płacić ino mijskie ciarachy hopów dosyć majonce, a nie oni, którzy som bidoki, od gemby se odejmujonce, a bliźnimu dajonce, aby z głodu nie zdechł. A mijskie burżuje pedają, że ową daninę trza głównie nałożyć na biedroniów, z których co drugi mo milijony i nawet nie wi, co z nimi ma być robioncy. Neutralne obewatele do płacynio daniny tyż nie majom ochoty, bo oni lubią ino brać, a nie dawać. I tak sie to było w kupe składajonce, że wszyscy gwarzą, że danina jest bardzo mondry wynalazek, ale kużdy z osobna powiodo, że od tygo, aby bulić hopy som inni, a nie on. Ponieważ zaś pon Michalski jest człek sprawiedliwy, i chciałby, aby wszyscy jednakowo pomagali mu, dlatygo też wszyscy, ale nie razem, ino kużdy z osobna szyje mu buty i radby sie go pozbyć, przy nadzieji beodoncy, że jeżeli dostaniemy nowygo ministra, danine dyabli wezmom, gdyż, nauczony doświadczyniem poprzednika, bedzie od nij uciekał, niczym dyabeł od świnconyj wody, a obewatelom zostawiom hopy w dolinie.



Zniżka cen.

Panna Mańcia z panną Florą
Za swe usługi
Przez czas już długi
Stale pięćset marek biorą.
Dziś gdy marka wzrosła w cenie
Poruszyło ich sumienie,
Więc obecnie ogłaszają,
Że pięć procent opuszczają
W dnie powszednie i przy święcie,
A dziesięć w abonamencie.

Nowa spółka.

Maryanek będzie posłem
Bo Bardel mu ustąpił,
Maryanek sprytna ryba
Bo grosza nie poskąpił.
I przyrzekł Witosowi,
Że będzie jego sługą,
Tylko zaznaczyć termin
Zapomniał: na jak długo?
Na razie dali sobie,
Aż z dubeltówki pyska,
Ten „organ popularny",
A ów mandacik zyska.
Przy urnie razem stanie
Ta spółka geszefciarzy,
A my wypijem piwo
Jakiego nam nawarzy.
Krakowie zbudź się ze snu,
Otrząśnij się z ślepoty
Nie pozwól w swoich murach
Na rządy tej hołoty.



Z listów Hermogenesa Klapy.

Kochana Redakcyo!

Słowo się rzekło, areoplan w powietrzu i jazda w drogę, zależało mi bowiem na pośpiechu.

Jak już zresztą Czytelnicy wiedzą, Mikado żyje i ma się bardzo dobrze, zamiast niego — umarł natomiast były król bawarski, lecz nie w Japonii, ale podobno w swym majątku na Węgrzech. Ja tylko cudem uniknąłem śmierci, zastąpił mnie w tym wypadku premier japoński, którego zamordował jakiś kelner ze złości, że pozwolił mi tak wcześnie odjechać, przez co udaremnił planowany przezeń zamach na mą osobę. Posądzam, że Lloyd George umaczał w tem swe ręce, widząc we mnie groźnego przeciwnika, którego za każdą cenę należy się pozbyć, choćby to miało kosztować nawet i cały funt szterling.

Skierowałem się z Japonii ponad lądem azyatyckim w stronę Europy, chcąc po drodze sprawdzić, czy rzeczywiście udało się Anglikom wyleźć na Gaurizankar. I w samej rzeczy, przelatując obok jego szczytu, ujrzałem pułkownika Bury'ego (ciekawa rzecz, niby to Anglik, a nazywa się po polsku i kto wie, czy nie jest krewnym byłego austryackiego ministra spraw zagranicznych, który zwał się Burjan, co jest skróceniem: Bury Jan...). Siedział na samym wierzchołku i drapał się to w głowę, to w plecy, to jeszcze niżej, z czego można było wnosić, że jest w kłopocie i pewnie nie wie, którędy ma zleźć.

Poznał mnie widocznie, przelatywałem bowiem bardzo blisko, gdyż zawołał:

— Panie Klapa!... Weź mnie pan ze sobą...

— Bardzo żałuję — ja mu na to — ale po pierwsze nie mam gdzie wylądować, gdyż pan zajął cały szczyt, a po drugie bardzo mi się spieszy. Ale niech pan poczeka, zabiorę pana, gdy będę wracać.

— A kiedy to nastąpi?

— To już odemnie nie zależy, lecz od księcia Hirohito... Może za rok, może za dwa, obiecałem mu bowiem, że będę chrzestnym ojcem jego pierworodnego...

Za ten brak serca spotkała mnie kara, na każdym kroku doznawałem tylko niepowodzeń, co zresztą spotyka mnie w życiu aż nazbyt często.

Pierwszy postój urządziłem w Teheranie, dokąd zboczyłem, aby na polecenie ministra Skirmunta zamówić kilka wagonów proszku perskiego celem wytępienia bolszewickich karakonów w Polsce, od czego miałem otrzymać odpowiednią prowizyę. Zamówienie zrobiłem, ale, jak się potem dowiedziałem, zupełnie niepotrzebnie, gdyż najgłówniejszy Karakon wywiał tymczasem z Warszawy i pono do niej już nie wróci, a za nim pójdzie zapewne i reszta. Proszek perski w każdym razie się nie zmarnuje, będziemy go mogli wymienić za granicą na inne towary, naprzykład na kwargle czeskie, o co już rozpoczął starania minister Skirmunt, który z tego właśnie powodu wyjechał do Pragi.

Następny popas miałem w Astrachanie, gdzie doszła mnie wiadomość, że nie potrzebuję się śpieszyć, gdyż król Karol już nie jest królem, natomiast wstąpił do zakonu Benedyktynów w Tihany. Ale i tam długo nie popasał, na drugi dzień otrzymałem bowiem od niego depeszę bez drutu zawiadamiającą mnie, że zmienił projekt i przenosi się na jedną z wysp na Atlantyku, gdzie ma zamiar prowadzić żywot pustelnika i poświęcić się wyłącznie nabożnym praktykom, wobec czego prosi, bym mu przywiózł puszkę kawioru, o ile możności jak największą, by wystarczyła na dłuższy czas.

Oczywiście postąpiłem w myśl jego żądania, stało się to jednak powodem katastrofy, która zatrzymała mnie na miejscu dłużej, niż to było przewidziane w programie podróży. Oto mój pilot, przygotowując samolot do dalszej podróży, przez pomyłkę wysmarował śruby zamiast mazią, kawiorem. I, o dziwo, samolot, dotąd zawsze posłuszny swemu kierownikowi, zmienił się do niepoznania. Ogon sterczał nieruchomo w górę, śmigło zajęło pozycyę pionową i ani rusz nie dało się w ruch wprowadzić... Nie pozostawało zatem nic innego, jak czekać, póki nie miną skutki niefortunnego wysmarowania, domyśliłem się bowiem zaraz, że ono było powodem całego nieszczęścia. Pouczyłem zatem pilota o właściwościach kawioru, o czem dotąd nie wiedział, ale, jak się pokazało, zrobiłem najgorzej, gdyż z kolei zniknął mój pilot i nie pokazał się, aż na trzeci dzień i to taki jakiś zmięty, iż nie można było nawet myśleć o podjęciu dalszej podróży. Nudząc się, zaglądnąłem i ja do puszki z kawiorem, w której została jeszcze odpowiednia porcya, by się przekonać, czy też i ja jestem wrażliwej natury. Stało się

to powodem dalszego dwudniowego opóźnienia, areoplan i pilot wrócili już do normalnego stanu, natomiast pan Klapa musiał wypoczywać po trudach podróży. Spieszyć się nie potrzebowałem, powiedziałem sobie zatem, iż byłbym głupi, gdybym nie skorzystał z nadarzającej się sposobności, by sobie przypomnieć młodsze, dawno już minione, jak mi się wydawało, lata. Okazało się jednak, że tak nie jest, wobec czego zaczynam myśleć o wyszukaniu sobie dozgonnej towarzyszki życia, by już w karnawale można urządzić gody małżeńskie, któż bowiem zaręczy, że stan obecny długo potrwa?... A nie chciałbym, by na mnie miał wygasnąć bezpotomnie szlachetny ród Klapów. Sprzeniewierzę się wprawdzie tradycyom rodowym, gdyż u nas starokawalerstwo było dziedzicznem, a i rodzic mój w bezżennym stanie zeszedł z tego świata, cóż jednak robić, gdy się czuje wewnętrzny głos do spełnienia wielkich czynów.

I tydzień prawie upłynął, nim mogliśmy rozpocząć dalszą podróż. Wszyscy trzej, to jest sam pan, pilot i areoplan, byliśmy bardzo niewyraźni i ziewaliśmy całą drogę, oczywiście z wyjątkiem areoplanu, który ziewać nie umie. Po drodze, ponieważ wypadał właśnie dzień Zaduszny, chciałem złożyć wieniec na grobie Joffego, zamordowanego przez *Kuryerka* na Ukrainie wraz z czterdziestu kilku towarzyszami podczas powrotu z Odessy. Wychodziłem z założenia, że bolszewicy zrobią go niezawodnie świętym, warto zatem postarać się o jego względy i protekcyę. Niestety, grobu jego nie znalazłem, gdyż, jak się potem również z *Kuryerka* dowiedziałem, w czasie swej męczeńskiej śmierci na Ukrainie bawił w jednem ze zdrojowisk niemieckich, a tamtejsze kąpiele tak mu dobrze zrobiły, że bynajmniej, bodaj na razie, o śmierci nie myśli.

Nieszczęście lubi zwykle chodzić w parze. Po kawiorze mieliśmy wiatry, które zagnały nas ponad Morze Czarne do Gałaczu. Ale w tem nieszczęściu było i szczęście, zastałem tam bowiem Karola i mogłem mu oddać przywieziony kawior.

Ucieszył się bardzo moim widokiem, a jeszcze bardziej kawiorem, spróbował zaraz i rzekł:

— Za skutek ręczę — odpowiedziałem — doświadczyłem go bowiem na sobie i jemu tylko zawdzięczam opóźnienie i zboczenie z drogi, które dało mi miłą sposobność oglądania jego ex-królewskiej mości. I cóż tam na Węgrzech?

— Bałwany!... Gulasz i papryka zabiły w nich uczucia monarchistyczne... Wyrzekam się ich raz na zawsze, choćby mnie prosili, a Zyta kazała, nie wrócę do nich więcej!...

— A cóż w Tihany?... Miał podobno wasza królewska mość wokacyę do życia zakonnego?

— Tak!... Zmieniłem jednak projekt, gdym się przekonał, że oni tylko z imienia są Benedyktami, gdyż benedyktynki nie wyrabiają. Pozatem Zyta nie chciała mnie opuścić, a reguła zakonna nie pozwala na zajęcie się inną „Benedyktynką", jak tylko taką, która jest we flaszce... Miałem zamiar pierwotnie osiąść w Żywcu, Okocimie lub Izdebniku, gdziebym mógł prowadzić mą hydropatyczną kuracyę, Lloyd George radzi mi jednak wyjazd na Maderę, gdzie też wilgoci jest dosyć. Usłucham go, zwłaszcza, że obiecuje rychłe przybycie tamże ex-cesarza Wilhelma. Podzielimy wyspę na dwie części i będziemy rządzić, gwizdając na cały świat. Wiluś będzie budował fortece, a ja browary i gorzelnie... Ale, do widzenia, gdyż, zdaje mi się, Zytka mnie woła, a ona czekać nie lubi... Za kawior zwrócę panu pieniądze, gdy mnie pan odwiedzi na Maderze... Miałem wprawdzie kilka koron, ale wszystkie dyabli wzięli! Ostatnią, węgierską, przegrałem w ubiegłym tygodniu. Kto ma szczęście w miłości, nie ma szczęścia w grze...

I zniknął w drzwiach kajuty, unosząc pod pachą puszkę z kawiorem, której strzegł jak oka w głowie.

I ja dłużej nie czekałem, siadłem na mój samolot i ruszyłem prosto drogą na Wiedeń i Paryż, skąd po wypoczynku ruszam dalej na kongres do Waszyngtonu, gdzie czekają na mnie i na Lloyd'a George'a. Czy jednak nie stanie mi co w drodze na przeszkodzie, o tem dowiecie się z następnego listu.

Au revoir!... Salem alejkum!

Klapa.

NADESŁANE.

Właściciele wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpowiedzialny redaktor: Konstanty Krzeczkowski. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarz. St. Kowalskiego.



— Czy pójdziesz z nami na „Biedną dziewczynę"?
Nowobogacki: — Ja dla biednych dosyć robię!... Zaczekajmy aż będą grali „Księżniczkę czardasza"!